

W chwilę później niby to przypadkiem rzucił okiem w stronę stolika impulsywnej nastolatki. Siedziała do niego plecami. Jej papcio wydał mu się przez moment kimś znajomym. Mężczyzna miał na karku pięćdziesiątkę i nosił się z wyszukaną włoską elegancją. Bob nieoczekiwanie uzmysłowił sobie, że nadal o nim nic nie wie. Jednak nie rwało go do tego, by brać go pod lupę.

Słodka Jennifer nie była zapatrzoną w siebie egoistką, niezdolną do przyjaźni, o co ją skrycie posądzał. Miała koleżankę. Ciągnęły jego tropem w bezpiecznej odległości, rozbawione i rozpaplane. Blondyneczka była nieco młodsza, otarł się o nią na pływalni. Jeśli zamierzały się kamuflować, to czyniły to nieumiejętnie. Połapał się, kogo ma w ogonie, kiedy wracał z pasażu handlowego. Był starym wygą, miał oczy z tyłu głowy i nie można go było nabrać na takie ograne numery.

— He, he, co za agenciary! — mruknął rozanielony.

Dopadła go ochota, by robić zapiski starym szkolnym zwyczajem, więc kupił sobie najprawdziwszy pod słońcem zeszyt w kratkę i kilka grafitowych ołówków. Do tego dorzucił aparacik do strugania w kształcie statku kosmicznego z maleńką korbką z boku. Z tymi skarbami wracał do swego apartamentu, a chcąc zmniejszyć dzielący go dystans, niby to przypadkiem wdepnął po drodze do jednej z kafejek. Cofnął się z odrazą, bo w imitowanej na stajnię kiepsko oświetlonej karczmie przesiadywali sami Wenusjanie. Dalej była francuska kawiarenka, którą odkrył poprzedniego dnia — z wirtualnymi oknami na Lasek Buloński późną wiosną. Miała piękny wystrój z *faux-marbre*, wypolerowanego mosiądzu i koronkowych zasłon. Pomyślał, że mógłby tu przychodzić na kawę.

Dogoniły go i z chichotem wyprzedziły. Potem Jennifer została na chwilę przyjaciółkę od serca i niespodziewanie zawróciła, zatrzymując go w pół drogi. Czekająca na nią laska z warkoczykami nie szokowała urodą, choć też nie brakowało jej seksapilu, a wyraźnie grała przy niej rolę drugich skrzypiec.

— Klawo, że cię widzę. Zajrzę dziś do ciebie — zapowiedziała z błyszczącymi oczami. Wyczuł w jej słowach odrobinę niepokoju.

Udał, że to go zaskoczyło. Zmarszczki na czole świadczyły o niezwykłym skupieniu.

— Jak to? Jeszcze nie ma tygodnia — pozwolił sobie na ostrożny żart. — Zostały całe dwa dni. Czterdzieści siedem godzin i trzydzieści pięć...

Roześmiała się, a w jej policzkach pojawiły się śmieszne dołeczki.

— Bez przesady, nie rób sobie jaj z pogrzebu. Pochodzę z planety Memphis, a tam czas płynie szybciej niż tutaj — z dziewczęcą fantazją odbiła piłeczkę. — Za godzinę — podkreśliła.

— A co to masz? — zapytał, widząc w jej rękach e-czytnik.

— Takie tam bzdety, nie dla facetów. „Cztery miliony mężczyzn czeka na ciebie” — podała mu tytuł.

— He, he, he, to za dużo nawet dla kogoś takiego jak ty!

— Wiedziałam, że tak powiesz, dowcipnisiu — zareagowała na zaczepkę. — To o doborze naturalnym — rzuciła z przekąsem na obchodne i pofrunęła do tamtej.

Dopiero gdy zniknęły za zakrętem, uchodząc w stronę siłowni, z nagłą sobie uprzytomnił, gdzie ją pierwszy raz ujrzał. Zatrzymał się i mimowolnie przetarł ręką czoło. Doznał raptownego olśnienia. Wprost nie chciało mu się wierzyć. „Rozsypane kostki domina. Nie da się z nich zbudować Muru Chińskiego. To trzeba we dwoje!”

— Tak, w Nowym Amsterdamzie — wyszeptał z przejęciem, przeciągając sylaby. — Jasny gwint!

Do jego ukochanej kwiaciarni nieśmiało zaglądnęła młodziutka klientka i po chwili pozorowanego namysłu zamówiła trzy gerbery. Usiłował zainteresować ją różami herbacianymi, akurat miał ich więcej, ale bez skutku. Kiedy jego sprzedawczyni sposobiła bukiet, dobierając wstążki, dziewczyna nerwowo wyjrzała za siebie na ulicę, jakby tam ktoś na nią czekał, zleciwszy jej uprzednio sekretną misję. Przez szkło witryny mimowolnie poszedł za jej spojrzeniem, by ujrzeć niecierpliwą się koleżankę. Dlaczego tam sterczała? Przecież kwiaciarnia była lokalem, do którego mogła śmiało wejść. Otulała się krótką ciemną opończą, a twarz kryła pod szerokim kapturem, jakby nie chciała, by ją rozpoznano. No, ale te boskie nogi. Takich zgrabnych się nie zapominało.